

## Jan Rokita: Rewolwerowiec i szeryf

Przywódcy wolnego świata popełniają kardynalną pomyłkę dając się paraliżować lękiem z powodu „atomowego guzika” Putina. Zaś demokratyczna opinia publiczna, jak zwykle – dopóty woli pobożne życzenia od mało przyjemnej rzeczywistości, dopóki jacyś demagodzy nie wprowadzą jej w końcu w stan zbiorowej paniki. Owa rzeczywistość jest zaś taka, że w odróżnieniu od zachodniej „filozofii atomowej”, Rosja zakłada możliwość posłużenia się atomem, bynajmniej nie dla zniszczenia wroga, nie mówiąc już o globalnym armagedonie, ale po prostu dla przeprowadzenia politycznej demonstracji i zyskania psychologicznej przewagi – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Dzień przed tym, jak siódemka potentatów wolnego świata spotykała się na zamku Elmau i cztery dni przed madryckim szczytem NATO, rosyjski prezydent przywołał do Petersburga swego mińskiego wasala. I to zdaje się tylko po to, aby przed kamerami telewizji oznajmić mu, iż właśnie spełnia jego prośbę o przesunięcie na Białoruś wyrzutni *Iskander*, które (jak zapewne celowo niejasno wyraził się Putin): „mogą przenosić pociski samosterujące konwencjonalne i atomowe”. Przedstawienie odegrane przez obu tyranów miało jeszcze drugą odsłonę, z dalszym ciągiem tego samego wątku. Mniejszy tyran zwrócił się bowiem do większego tyrana z kolejną prośbą: aby ten zdecydował o szybkim „dostosowaniu” samolotów bojowych, którymi dysponuje armia białoruska, do przenoszenia rosyjskich bomb atomowych. „Można je ulepszyć w odpowiedni sposób, uzgodnimy jak to osiągnąć”

– brzmiała łaskawa odpowiedź. Rzecz jasna, z tej scenki zrobionej na użytek wolnego świata, bynajmniej nie wynika, że Rosja przenosi właśnie na terytorium białoruskie broń atomową. Wynika coś innego: że być może przenosi, albo i nie przenosi, a może przeniesie za jakąś chwilę. Siódemka z Elmau (i nie tylko ona) ma się zastanawiać nad tym, jakie naprawdę są intencje Kremla, gdy idzie o atom; no i ma żyć w strachu, że jak pośle jakąś nową partię ofensywnej broni na Ukrainę, to nuklearna reakcja Kremla stanie się rzeczywistością.

Z tą nuklearną reakcją Rosji na wydarzenia na Ukrainie i wokół Ukrainy jest niejaki *qui pro quo*. Od pierwszego dnia wojny, odkąd kremlowski tyran postraszył „skutkami, jakich świat nie widział”, strach przed atomowym rozwojem zdarzeń ciąży nad całą polityką Ameryki i Europy. Gdyby nie ten strach, Kijów dawno miałby upragnioną „*no-fly-zone*”, więc ukraińskie miasta i infrastruktura nie byłyby bezkarnie rujnowane. Miałyby też dawno samoloty bojowe i pociski średniego zasięgu, więc mógłby nie dopuścić do swobodnego marszu Moskali przez most kerczeński i Krym, a w efekcie nie padłby ani Biedjańsk, ani Chersoń, ani Mariupol. Krótko mówiąc, gdyby nie paniczny strach Bidena i innych przed rosyjską potęgą atomową, świat wyglądałby dziś inaczej, czyli dużo lepiej. Lecz z kolei opinia publiczna wolnego świata (mam na myśli dominujący ton mediów, analityków, publicystyki) ryzyka atomowego nie wydaje się traktować poważnie. Ostatnimi czasy przeczytałem całą serię mniej lub bardziej wnikliwych analiz, wedle których ryzyko owo jest w istocie marginalne. A to przede wszystkim z tej racji, że (każdy ponoć to rozumie!) jakiegokolwiek użycie broni atomowej uruchomiłoby globalny armagedon, którego nikt nie chce, nawet kremlowski tyran. Jeśli się zatem go tylko za bardzo nie rozdrażni, a tego z pewnością nie zrobią ludzie tak roztropni, jak Biden, Macron czy Scholz, to rosyjskie głowice pozostaną na swoim miejscu w silosach, a świat uniknie niebezpieczeństwa.

Obie te postawy wobec rosyjskiego atomu są myślowo błędne i politycznie szkodliwe. Przywódcy wolnego świata popełniają kardynalną pomyłkę dając się paraliżować lękiem z powodu „atomowego guzika” Putina. Zaś demokratyczna opinia publiczna, jak zwykle – dopóty woli pobożne życzenia od mało przyjemnej rzeczywistości, dopóki jacyś demagodzy nie wprowadzą jej w końcu w stan zbiorowej paniki. Owa rzeczywistość jest zaś taka, że w odróżnieniu od zachodniej „filozofii atomowej”, Rosja zakłada możliwość posłużenia się atomem, bynajmniej nie dla zniszczenia wroga, nie mówiąc już o globalnym armagedonie, ale po prostu dla przeprowadzenia politycznej demonstracji i zyskania psychologicznej przewagi. Nie jest to przy tym jakaś kremlowska wiedza tajemna, ale całkiem jawna doktryna „силового сдерживания”, ogłaszana w kolejnych oficjalnych rosyjskich dokumentach państwowych i dyskutowana publicznie przez rosyjskich ekspertów militarnych. Po upadku Sowietów Ameryka porzuciła koncept psychologicznego oddziaływania samą możliwością posłużenia się atomem jako pierwsza, nie mówiąc już nawet o scenariuszu realnego użycia atomu jako politycznej demonstracji. Dlatego na Zachodzie atom utracił znaczenie jako narzędzie polityki. Cóż to bowiem za narzędzie, o którym z góry wiadomo, że nie zostanie użyte w żadnym przypadku, jak tylko w odpowiedzi na już dokonany atak atomowy na USA lub sojuszników! To właśnie różni współczesne zachodnie myślenie o atomie od rosyjskiego, które po 1999 roku ewoluowało dokładnie w odwrotnym kierunku.

Przełomem było Kosowo i bombardowania Belgradu. To właśnie wtedy w Moskwie uznano, że techniczna przewaga Ameryki w broniach konwencjonalnych jest tak ogromna, iż Rosja musi dopracować się własnej doktryny odstraszania, której integralną częścią będzie

zniuansowane i finezyjne posługiwanie się arsenałem jądrowym. Nie bez znaczenia jest fakt, iż ówczesne prace studialne zainicjował mianowany przez Jelcyna młody szef Rady Bezpieczeństwa – Władimir Putin, który rok później, już jako głowa państwa, podpisywał pierwszy dokument, będący owocem owych studiów. Z czasem państwo rosyjskie dopracowało się całościowej doktryny „силового сдерживания”, której szczególnie ciekawym elementem (z perspektywy naszego problemu) jest koncept sprawienia wrogowi w toku toczącej się wojny tzw. „szkody odstraszałającej”. Jak można dowiedzieć się z raportu CNA z 2020 roku, szkoda taka charakteryzuje się czterema cechami. Po pierwsze – jej wyrządzenie jest częścią zarządzania procesem eskalacji konfliktu, gdy w pierwszej fazie wojny nie udaje się osiągnąć militarnych celów Rosji. Po drugie – jej celem jest mocna demonstracja polityczna, mająca na wrogu wyrzucić w pierwszej kolejności efekt psychologiczny. Po trzecie – uderzenie następuje na aktywa wojskowe wroga, a nie na miasta czy centra gospodarcze (to zasadnicza różnica względem strategii z zimnej wojny). Po czwarte – zakres, moc i czas wyrządzenia szkody musi pasować do kontekstu politycznego, więc nie czyni się tego jednorazowo, ale wielokrotnie i w sposób stopniowalny. Oczywiście, narzędziem wymierzenia takiej szkody jest wielki rosyjski arsenał taktycznych pocisków nuklearnych.

Może to wyglądać na paradoks, ale w istocie nim nie jest. Oto bowiem realne użycie atomu w taki zniuansowany i finezyjny sposób nadal pozostaje częścią idei atomowego odstraszenia! To dzięki temu właśnie atom staje się narzędziem polityki, a jego użycie na teatrze wojny nie jest jakimś aktem ostatecznym, ani desperackim. Ma tylko dać światu mocny sygnał, że Rosja od swoich celów wojennych nie odstąpi, zaś wróg – jeśli nie ma równej atomowej determinacji – musi ustąpić i zakończyć wojnę na rosyjskich warunkach. Patrząc od czterech miesięcy na bieg wojny wschodniej odnoszę nieprzeparte wrażenie, że

tak właśnie wygląda obecna rosyjska gra z atomem na Ukrainie. Dzień przed Elmau i cztery dni przed Madrytem Putin przywołuje do Petersburga Łukaszenkę, aby przywódcom wolnego świata przypomnieć, iż z perspektywy Kremla użycie atomu jest częścią gry, a nie wyjściem poza jej reguły. Jednak demokratyczny świat ma jakąś wielką trudność z przyjęciem tego do wiadomości. Zarówno przywódcy, jak i demokratyczna opinia publiczna wyznają nadal zimnowojenny stereotyp wojny atomowej jako armagedonu, podczas gdy Rosja znacznie dalej niżli Zachód odeszła od militarnych doktryn tamtego czasu. Nie dziwota tedy, że opinia publiczna zdroworozsądkowo nie wierzy w realność armagedonu, zaś przywódcy żyją w panicznym strachu, iż jakimś głupim przypadkiem mogliby go jednak rozpętać. Efekt jest niestety taki, jak w jakimś kiepskim westernie. Oto bandyta-rewolwerowiec, pewny siebie, wyszedł już z saloonu, a przy pasie dyndają mu szybkostrzelne rewolwery, z których zamiarem użycia wcale się nie kryje. Tymczasem naprzeciw, w silnym słońcu idzie szeryf, który cały swój potężny arsenał zostawił w domu, a bojąc się sprowokować rewolwerowca, trzyma w ręku sztucer na bizony.